

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



James Matthew Barrie

PRZYGODY PIOTRUSIA PANA

**Opracowała
ZOFIA ROGOSZÓWNA**

**Tytuł oryginału angielskiego
*Peter Pan***

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział I

Wielka wyprawa do Parku Leśnego

Byłoby wam trudno zrozumieć przygody Piotrusia Pana, gdybyście nie wiedzieli, jak wygląda Park Leśny. Park ten jest olbrzymi i leży w pobliżu bardzo wielkiego miasta, w którym mieszka król. Prawie codziennie chodzimy z Daniem do parku i Danio jest wprost oszołomiony mnóstwem wrażeń, jakich tam doznaje. Nigdy jeszcze żadne dziecko nie zwiedziło całego parku za jednym razem, bo malcy w wieku Dania muszą sypiać od dwunastej do pierwszej w południe i dlatego trzeba spieszyć z powrotem do domu. Gdyby jednak wasze mamy nie przestrzegały tak koniecznie tego spania od dwunastej do pierwszej w południe, to może moglibyście zwiedzić cały Park Leśny w jednym i tym samym dniu.

Przed parkiem ciągnie się nieskończenie długi sznur dorożek, nad którymi wasze piastunki mają taką władzę, że skoro palec do góry podniosą, dorożka staje, a wtedy dzieci przechodzą swobodnie na drugą stronę ulicy i zatrzymują się przed wielką, żelazną bramą. Bram w parku jest kilka, ale zwykle wchodzi się tą pierwszą. U wejścia można zamienić parę słów z „panią od baloników”. Pani ta z takim natężeniem całą swą przysadzistą postacią przyciska stołek do bruku chodnika, a plecy do żelaznego ogrodzenia parku, że twarz jej jest czerwona jak burak. Ostrożność ta jest bardzo wskazana, bo gdyby choć na chwilę puściła się sztachet i stołka, baloniki, które trzyma w ręku, uniosłyby ją w powietrze. I tak się nawet stało któregoś dnia, bo gdyśmy o zwykłej godzinie przyszli do parku, zastaliśmy pod bramą „nową panią od baloników”. Widocznie ta dawniejsza, gruba, oderwała się od sztachet i baloniki uniosły ją w górę. Danio bardzo żałował, że nie był przy tym, bo skoro już w ogóle miało się stać takie nieszczęście, byłby przynajmniej chciał je widzieć na własne oczy.

Leśny Park jest przesłicznym ogrodem, w którym rosną miliony i setki najpiękniejszych drzew. Zaraz za bramą zaczyna się Gaj Figowy, ale każdy umyka stąd czym prędzej, bo tutaj bawią się tylko dzieci, które z nikim „zadawać się” nie chcą, bo są zanedbanie wychowane. Danio i inni bohaterowie w jego wieku nazywają je pogardliwie „małpkami”. Dzieci te chodzą postrojone jak laleczki z wystawy sklepowej, mówią po cichutku i używają wyszukanych wyrazów jak ludzie dorośli. Nudzą się przy tym ciągle, bo w nic się bawić nie umieją. Zdarza się jednak, że i najlepiej wytresowana małpa zbuntuje się w zwierzyńcu, przesadzi strzegące ją mury i ucieknie w świat daleki. Takim buntowniczym duchem była Marynka Grey, o której dowiecie się więcej, kiedy dojdziemy do bramy ochrzczonej jej imieniem. Ta mała Marynka jest jedyną „małpką”, której wspomnienie przechowało się w Leśnym Parku.

Teraz przechodzimy na Dużą Drogę. Różnica między nią a innymi drogami jest prawie taka jak między wami a waszym ojcem. Danio nie może się nadziwić, że droga ta jest z początku wąska, a potem rozszerza się i rozszerza, dopóki się nie stanie zupełnie szeroką drogą. Danio twierdzi, że droga ta jest ojcem wszystkich ścieżek i ścieżynek parku, i wyrysował nawet obrazek, który mu się ogromnie podoba. Na tym obrazku Duża Droga wiezie w dziecięcym wózku Małą Dróżkę na spacer. I na tej drodze spotkać można tylko bardzo porządne towarzystwo. Dzieci bawią się tu zawsze pod okiem dorosłych, którzy pilnują, żeby nie zamoczyły nóżek w wilgotnej trawie, i stawiają je do kąta za to, że są „uparciuchami” albo „mazgajami”. Wyraz „mazgaj” oznacza kogoś, kto płacze o byle co, na przykład o to, że go niania nie chce wziąć na ręce albo że mu palec z buzi wyjęto. Z dwojga złego lepiej już być

„uparciuchem”, bo tyle najmilszych rzeczy jest zabronionych na świecie, że warto od czasu do czasu popробować, czyby się jednak nie dało postawić na swoim.

Gdybyśmy się zatrzymywali przy każdym placu, przez który przechodzi Duża Droga, stracilibyśmy tyle czasu, że musielibyśmy wracać do domu nie obejrzawszy ani jednej części wszystkich rzeczy godnych widzenia w Parku Leśnym. Zwrócę wam więc tutaj tylko uwagę na drzewo Mundzia Helwetta, pod którym ów Mundzio, bawiąc się pewnego razu, zgubił jednego pensa, a po chwili szukania odnalazł dwa! Od tego pamiętnego zdarzenia cała ziemia dookoła drzewa jest rozgrzebana i zryta rydelkami młodocianych „poszukiwaczy złota”. Nieco dalej wznosi się drewniana budka, w której zabarykadował się mały książę Henryś. Mały książę mazgał się przez całe trzy dni bez żadnego powodu i za karę przyprowadzono go do Parku Leśnego w sukience jego siostrzyczki. Henryś nie mógł znieść takiej hańby. Na Dużej Drodze wydarł się z rąk bony, zamknął się w drewnianej budce i nie dał się z niej wyprowadzić, póki mu nie oddano jego bufiastych majteczek z dwiema kieszeniami.

Nie będę was namawiał, żebyście się zbliżyli do Okrągłego Stawu, bo zanim doń dojdziecie, nianie wasze, które są okropnie tchórzliwe, odciągną was na pewno w inną stronę i pokażą wam ścieżkę wiodącą do Dziecinnego Pałacu. W pałacu tym mieszkała samiuteńka jedna, w otoczeniu bardzo wielu lalek, najślawniejsza dziewczynka z całego parku. Jeśli kto pociągnął za sznurek dzwonka, wstawiała zaraz z łóżka. O szóstej zapalała światło i odmykała drzwi w koszulce nocnej, a wszyscy wołali w uniesieniu:

„Cześć królowej! Niech żyje królowa!” Dania jednak najbardziej dziwi, skąd taka mała dziewczynka wiedziała, gdzie są schowane zapalki.

Teraz zastępuje nam drogę Wyścigowa Góra. Zdarza się, że dzieci wchodzą na nią bez zamiaru gonięcia się lub ścigania. Ledwie jednak stopy ich dotkną jej szczytu, taka ochota wzbiera w nich nagle, że zbiegają z góry, jakby im skrzydła wyrosły u ramion. Zwykle zatrzymują się dopiero wówczas, kiedy już tak daleko odbiegły od starszych, że nie wiedzą, jak trafić do nich. Ale na szczęście jest tu druga drewniana budka, w której siedzi dozorca. Budka ta nazywa się „domkiem znajdków”, bo jak się tylko dziecko zgubi, idzie do dozorca i mówi mu, że się zgubiło, a dozorca je zaraz znajduje. Na Górze Wyścigowej zabawy i gonitwy nie ustają nigdy, bo nawet w dni zimne i wietrzne, kiedy dzieciom wychodzić z domu nie wolno, zamiast nich bawią się tu i ścigają żółtkę, jesienne liście. Opanowane szałem gonitwy, bez końca wirują tu i gonią się, a nikt na świecie nie może im dorównać w lekkości i chyżości.

Z Wyścigowej Góry widzimy, jak na dłoni, Bramę Marynki Grey, o której przyrzekłem wam więcej opowiedzieć. Była to ładna, mała dziewczynka, która co dzień o tej samej godzinie zjawiała się w parku w towarzystwie dwóch piastunek albo jednej mamy i jednej piastunki. Marynka była zawsze ślicznie ubrana, wszystkim „małpkom” mówiła „pa” i bawiła się tylko swoją własną piłeczką, którą raczyła rzucać na ziemię i kazała podnosić piastunce. I raptem ta grzeczna, ta ślicznie ubrana i wzorowo wychowana Marynka zmieniła się w najniegrzeczniejsze stworzenie. Chcąc dowieść, że jest naprawdę niegrzeczna, rozwiązała najpierw sznurowadła trzewiczków i wywiesiła język na cztery strony świata. Potem zdarła z siebie szarfę jedwabną, zmiała ją i podeptała nogami, pobiegła do kałuży i skakała po błocie, póki nim nie obryzgała swojej strojnej sukienki. Potem przelazła przez płot i narobiła jeszcze wiele innych głupstw, na których zakończenie zrzuciła z nóżek oba zabłocone trzewiczki i cisnęła je daleko poza siebie. Wreszcie, ochlapana błotem, rozczochrana i w pończoszkach tylko, pomknęła ku bramie, ochrzczonej teraz jej imieniem, wypadła na ulicę i byłaby z pewnością zginęła w tłumie, gdyby biegnąca za nią matka nie porwała jej na ręce i nie zaniósła do dożki, która zbuntowaną „małpkę” odwiozła do domu. Stało się to dawno temu i Danio tylko z imienia zna Marynkę Grey.

Na lewo od Dużej Drogi ciągnie się Aleja Dzidziusiów. Pełno tu dziecinnych wózków i maleństw zaledwie raczkujących – wprost trudno przejść nie natknąwszy się na jakieś nie-

moję, co wywołuje natychmiast okrzyki grozy i oburzenia nianie. Tu jest także przejście ku mleczarni, gdzie w prawdziwych rondlach gotuje się mleko i gdzie kwiatki kasztanów spadają wprost do waszych szklanek. Tu piją mleko także zwyczajne dzieci i do ich szklanek sypią się kwiatki kasztanów, tak samo jak i do waszych.

Teraz rzucimy okiem na studnię z basenem. Kiedy do tego basenu wpadł Jurek Śmiały, tyle było w nim wody, że się przelewała przez brzegi. Jurek był pieszczochem swojej matki i ze względu na to, że matka jego była wdową, pozwalał jej nawet przy ludziach brać się czasem pod ramię. Jurka ogarniała nieraz niepohamowana żądza przygód. Wtedy najchętniej bawił się z kominiarzem Smoluchem. Pewnego razu, kiedy jak zwykle bawili się koło studni, Jurek Śmiały wpadł do basenu i byłby się utopił, ale Smoluch dał nurka w wodę i wydobył go na wierzch. I co najważniejsze, że woda tak doskonale zmyła sadzę z twarzy Smolucha, że kiedy z niej wyszedł, wszyscy od razu poznali, że Smoluch jest ojcem Jurka, którego wszyscy uważali za zaginionego. Od tego czasu Jurek nigdy już nie pozwalał swojej matce, aby go brała pod ramię.

Pomiędzy studnią a Okrągłym Stawem leży boisko przeznaczone dla zwolenników krokiet. Tylko że do prawdziwej gry nie dochodzi prawie nigdy, bo podzielenie dzieci na partie zabiera za wiele czasu. Każde z dzieci chce grę prowadzić, a kiedy po wielu wysiłkach uda się nareszcie wszystkim pogodzić i dwóch partnerów rozpoczyna grę, okazuje się, że reszta dzieci już postanowiła bawić się w coś innego. Na tym boisku grają w krokieta chłopcy i dziewczynki. Chłopcy używają w grze drewnianej pałki, a dziewczynkom pomagają rakiety i guwernantki. Nie dziw więc, że nigdy nie grają porządnie, a jeślibyś chciał podpatrzeć ich rozpaczliwe wysiłki, doleciałyby cię z boiska najdziwniejsze odgłosy. Z tego powodu zdarzyła się raz nawet bardzo niemiła historia. Kilka dziewczynek wyzwało do walki „w piłkę” Dania i pewne rozwichrzone stworzonko (na imię jej było Anielcia). Dziewczynki zrobiły tyle punktów, że... albo nie, wolę pominąć milczeniem tę niefortunną przygodę i zaprowadzić was do Okrągłego Stawu, który jest duszą całego parku.

Staw jest okrągły i leży w samym środku Parku Leśnego, a kto raz stanął nad jego brzegiem, na pewno nie zechce kroku postąpić dalej. Tu widzi się chłopców puszczających na wodę tak ogromne żaglowce, że dla przewiezienia ich do parku muszą używać taczek albo wózków dzieciennych. Zauważyliście pewnie, że w parku bardzo dużo małych dzieci ma wykrzywione nóżki. Nie może być inaczej, skoro bracia i kuzynkowie zabierają ich wózki na swoje rzeczy, a bobasy muszą dreptać do domu piechotą.

Każdy z was marzył zapewne o posiadaniu żaglowej łodzi na własność i oto wujaszek spełnił wreszcie wasze życzenie. Ach, wielka to przyjemność przywlec taki statek do parku i rozprawiać o nim głośno z innymi chłopcami, którzy nie mają tak zacnego wujaszka! Ale po paru występach wolicie zostawić wasz wspaniały statek w domu, bo wkrótce spostrzegacie, że żaden, choćby najkosztowniejszy, nie może się nawet równać ze „statkiem z patyka”. Szczególną cechą tego statku jest jego dziwne podobieństwo do kawałka patyka przywiązanego na końcu sznurka. Podobieństwo to jednak trwa, dopóki statek nie zostanie puszczony na wodę. Bo skoro tylko zacznie się ślizgać po powierzchni stawu, właściciel idący wzdłuż brzegu i dzierżący w ręku sznurek widzi natychmiast tłumy majtków uwijających się na pokładzie, widzi żagle wzdęte majestatycznie i widzi, jak statek płynie, płynie dniem i nocą hen, ku cichej, bezpiecznej przystani, zupełnie niedostępnym kosztownym, sklepowym statkom. Noc zapada szybko, ale nieustraszony żaglowiec wypływa na pełne morze; żagle jego wzdymają się i trzepią na wietrze i płynie wciąż przed siebie, ponad zatopionymi miastami, coraz to natrafiając na rozbójników morskich, z którymi mężna załoga musi staczać dzikie walki. Wreszcie po długiej, mozolnej podróży statek twój zarzuca kotwicę na koralowych rafach.

Najpiękniejsze przygody zdarzają się zwykle, kiedy się bawisz sam, bo we dwóch nie można się tak bawić jak samemu. Gdy jesteś sam, prowadzisz półgłosem rozmowy, wydajesz

rozkazy, wygrywasz bitwy i bawisz się tak znakomicie, że zapominasz zupełnie, gdzie się znajdujesz i że już czas najwyższy wracać do domu. A kiedy przestajesz się bawić, zapominasz zupełnie, kim byłeś i czym twój statek był wyposażony po brzegi. Bo już wieko twojego skarbcza się zatrasnęło i skarbiec zapadł w głąb twojej pamięci. Może dopiero po latach inny jaki chłopczyk odkryje go i czerpać będzie z jego skarbów.

Kosztowne sklepowe statki nie kryją we wnętrzu swoim żadnych tajemnic i dlatego widok sklepowego jachtu nie ożywi nigdy w pamięci dorosłego człowieka najmilszych wrażeń jego dzieciństwa. Bo tylko „statki z patyka” wyposażone są po brzegi najcenniejszymi wspomnieniami. Jacht jest tym samym wobec „statku z patyka”, czym jest zwyczajny flisak wobec marynarza. Statek sklepowy ośmiela się zaledwie kraść po taflę jeziora, gdy tymczasem „statek z patyka” bez lęku wypływa na fale wzburzonego oceanu. Toteż niech dzieci posiadające piękne jachty nie wyobrażają sobie, że zabawki te wzbudzają u innych podziw. O nie, jachty te są zupełnie zbyteczne na Okrągłym Stawie! Gdyby nawet wszystkie się potopiły albo gdyby kaczki wciągnęły je pod wodę i zagrzebały w mule, Okrągły Staw spełniałby nadal cele, jakie mu przeznaczono.

Tak samo jak dzieci, ciągną ku wodzie mniejsze i większe ścieżki. Jedne z nich są opatrzone słupkami z kolczastym drutem. Są to porządne ścieżki, czyszczone i żwirowane przez ludzi, którzy przy tej robocie zdejmują z siebie surduty. Oprócz tych ścieżek jest mnóstwo innych, zwanych „złodziejskimi”. Drożki te i ścieżynki są miejscami tak szerokie, że dwie osoby swobodnie wyminąć by się mogły, to znów zwężają się tak dalece, iż pomimo że stawiasz nogi tuż przy sobie i tak dotykasz krzaków rosnących po obu stronach. Naturalnie „złodziejskie” ścieżki zrobiły się same i Danio bardzo żałuje, że nie może nigdy się przyjrzeć, jak one „się robią”. Naturalnie, że to „robienie się” ścieżek musi się odbywać już „po dzwonku”, kiedy bramy parku są pozamykane. Wszystko, co jest ciekawego w parku, robi się zawsze w nocy; ja sądzę, że ścieżki porobiły się dlatego, żeby nie stracić sposobności przyjrzenia się Okrągłemu Stawowi.

Jedna z tych „złodziejskich” ścieżyn zaczyna się od placu, gdzie strzygą barany i owce. Mówiono mi, że kiedy fryzjer ostrzygł po raz pierwszy loki Dania, Danio pożegnał je bez zmrużenia powiek (za to mamie jego łzy się kręciły w oczach). Nie dziw więc, że kiedy barany i owce zaczęły umykać przed postrzygaczem, Danio wołał ku nim wzgardliwie: „Nie wstyd wam, stare tchórze?!”. Kiedy jednak postrzygacz ścisnął owieczkę kolanami i rozpoczął operację, Danio pogroził mu pięścią. Nie mógł darować postrzygaczowi, że używa do strzyżenia takich wielkich nożyc. Po ostrzyżeniu owcy postrzygacz otrząsa z niej wełnę i zwierzątko stoi nieruchomo, zupełnie niepodobne do siebie. Owce są tak zdziwione i onieśmiałe tą nową swoją postacią, że puszczane wolno nie od razu zaczynają skubać trawę. Zapewne im się zdaje, że teraz nie mają już do niej prawa. Danio nieraz myśli nad tym, czy owce po ostrzyżeniu poznają jedna drugą, czy też może biorą się za obce i dlatego sprzecają się między sobą. Te owce z Parku Leśnego są w ogóle zupełnym przeciwieństwem owiec wiejskich. Dość powiedzieć, że na sam ich widok nasz dzielny Portos podwija ogon ze strachu. Portos jest bernardem i niech tylko na wsi posłyszysz z daleka beczenie owiec, biegnie ku nim i gna przed sobą całe stado. Ale te miejskie owce idą wprost ku niemu z tak dziwnym wyrazem w oczach, że Portosowi od razu robi się niedobrze. Jego psi honor nie pozwala mu, naturalnie, zemknąć przed owcami, więc stoi bez ruchu, udając, że jest pogrążony w podziwianiu krajozrazu, a potem raptem zawraca w bok i daje mi zza krzaków do zrozumienia, że moglibyśmy pójść dalej.

Niedaleko stąd zaczyna się Wężowe Jezioro. Jeśli się kto przechyli nad jego brzegiem, widzi na dnie zatopiony las, zwrócony wierzchołkami drzew ku dołowi. Ludzie mówią, że nocą błyszczą w głębi Wężowego Jeziora zatopione gwiazdy. Jeśli to prawda, to je widuje zapewne Piotruś Pan, kiedy w gniazdeczku swoim żegluguje po powierzchni jeziora. Tylko nieznaczna

część jeziora znajduje się w Parku Leśnym, bo zaraz woda przepływa pod kamiennym mostem aż ku Ptasiej Wyspie. Wyspa ta jest ojczyzną wszystkich ptaszków, z których wyrastają później chłopcy i dziewczynki. Żadna istota ludzka, z wyjątkiem Piotrusia Pana (który jest tylko niby – człowiekiem), nie może przedostać się na Ptaszą Wyspę. Każde z dzieci jednak, bez względu na to, czy jest dziewczynką, czy chłopcem, brunetem czy blondynką, może napiścić, co mu się żywnie podoba, na karteczce, przymocować liścik ten do papierowego stateczka i puścić go na wodę. Ręczę wam, że skoro tylko noc zapadnie, wasz liścik popłynie wprost do Piotrusiowego państwa.

Dość na dzisiaj, czas wracać do domu, bo, jak mówiłem, niemożliwe jest zobaczyć wszystko jednego dnia. Musiałbym chyba nieść Dania na rękach i wypoczywać na każdej ławce jak pan Salford. Nazwaliśmy tego pana panem Salfordem, bo każdemu, kogo spotka w parku, opowiada o ślicznej miejscowości, w której się urodził, a która nazywa się Salford. Bardzo to miły staruszek. Przesiada się z ławki na ławkę i szuka osoby, z którą by mógł nawiązać rozmowę o Salford. Rok minął od czasu, gdyśmy go zobaczyli po raz pierwszy, i oto traf chciał, że poznaliśmy się z innym samotnym staruszką, który za młodych lat spędził raz w Salford całą jedną sobotę i pół niedzieli. Był to cichy, nieśmiały starowina; adres jego był zawsze wypisany wewnątrz jego kapelusza. Skorośmy się dowiedzieli o jego wycieczce do Salford, powiedliśmy go w triumfie do pana Salforda. Nie potrafię wam opisać radosnego wzruszenia, z jakim nasz przyjaciel rzucił się na potulnego staruszkę, gdyśmy mu napomknęli o tej sobocie i niedzieli. Od tego czasu obaj staruszkowie nie rozłączają się ze sobą. Prym w rozmowie trzyma naturalnie pan Salford i na każdym przystanku chwyta swego towarzysza za guzik surduta, jakby się lękał, żeby mu się potulny staruszek nie wymknął.

Nie opodał wyjścia napotykały jeszcze dwie rzeczy godne uwagi. Pierwszą jest Cmentarz Psów, ale tu się nie zatrzymamy, bo przecież nasz Portos jeszcze żyje. Jeszcze bliżej bramy rośnie krzaczek z gniazdeczkiem sikorki. Smutne wspomnienie wiąże się z tym gniazdeczkiem. Szukaliśmy w krzakach piłki Dania i raptem zamiast piłki odkryliśmy cudne, maluchne gniazdeczko, a w nim cztery jajeczka, ozdobione kolorowymi kreseczkami, zupełnie podobnymi do gryzmołów wypisywanych przez Dania na jego zeszytach. Zapewne mama – sikorka pisała na tych jajeczkach liściki do pisklątek zamkniętych wewnątrz skorupki. Co dzień odwiedzaliśmy małe gniazdko, ale zaglądaliśmy doń tylko wówczas, kiedy żadnego z psotnych chłopaków nie było w pobliżu.

Co dzień sypaliśmy dokoła krzaczka okruszki, a ptaszyna podnosiła główeczkę na nasz widok i tak się z nami oswoiła, że trzepotała skrzydełkami na powitanie. Ale kiedyś przybyli jednego razu, w gniazdku brakowało dwóch jajeczek. Nazajutrz nie było już ani jednego. A biedna ptaszyna biła skrzydełkami ponad krzaczkiem i patrzyła na nas tak żalonym wzrokiem, jakby myślała, że to myśmy zdradzili jej zaufanie. To było wprost okropne i Danio tłumaczył jej, jak tylko mógł, że żaden z nas nie byłby w stanie wyrządzić jej takiej krzywdy. Ale boję się, czy ptaszyna go zrozumiała, bo kilka lat już minęło od czasu, jak Danio używał ptasiego języka. Gdyśmy dnia tego opuszczali Park Leśny, obaj mieliśmy łzy w oczach.

Rozdział II

Piotruś Pan

Jeżeli zapytasz swojej matki, czy będąc małą dziewczynką wiedziała już o Piotrusiu Panu, matka odpowie ci z pewnością:

„Naturalnie, moje dziecko, jakżeż mogłabym nie wiedzieć o nim?” A jeśli zapytasz jeszcze, czy Piotruś wtedy jeździł na kozie, matka wzruszy ramionami: „Cóż za pytanie, mój mały! Naturalnie, że jeździł!” Jeżeli potem pobiegiesz do babuni i jej zapytasz z kolei, czy kiedy była małym dzieckiem, słyszała coś o Piotrusiu Panu, babunia odpowie tak samo jak matka: „Naturalnie, moje dziecko, że słyszałam o nim”. Ale jeżeli jej zapytasz, czy za jej czasów Piotruś Pan jeździł na kozie, okaże się, że babunia nawet nie wie, że Piotruś Pan ma kozę. Jedno z dwojga: albo babunia zapomniała o kozie, jak zapomina czasem, że jesteś chłopcem, i nazywa cię Inką, jak nazywała twoją matkę, kiedy była małą, albo też za czasów babuni Piotruś nie miał jeszcze kozy. Sądzę jednak, że koza Piotrusia Pana jest rzeczą zbyt ważną, żeby dało się o niej zapomnieć, i myślę, że chyba za młodych lat babuni Piotruś rzeczywiście nie miał kozy.

Toteż jeśli ktoś opowiadając przygody Piotrusia Pana zaczynał od kozy, to by zrobił to samo, co gdyby ubierając się włożył najpierw surdut, a później kamizelkę.

Rozumie się, że Piotruś Pan jest bardzo stary, ale to zupełnie wszystko jedno, bo Piotruś nigdy nie ma więcej nad siedem dni życia. Urodził się wprawdzie bardzo dawno temu, ale nigdy jeszcze urodzin nie obchodził i nie ma nawet żadnej nadziei, żeby mógł je kiedy obchodzić. A to dlatego, że kiedy Piotruś Pan miał siedem dni, porzucił ludzi – wymknął się przez otwarte okno i poleciał do Parku Leśnego.

Jeżeli wam się zdaje, że Piotruś był jedynym dzieckiem, które zapragnęło uciec z domu, to znaczy, że już nie pamiętacie pierwszych dni waszego dzieciństwa. Kiedy Danio po raz pierwszy opowieść tę usłyszał, był przekonany, że nigdy nie miał zamiaru uciekać z domu. Wtedy mu poradziłem, żeby obu dłońmi przycisnął skronie i dobrze się namyślił. I co powiecie? Ledwie Danio przyłożył ręce do skroni i przycisnął je mocno i jeszcze mocniej, zaraz sobie przypomniał, że chciał raz usiąść na samym wierzchołku wysokiego drzewa, a innym razem ułożył sobie, że wdrapie się na komin, skoro tylko jego matka zaśnie, i zdaje mu się nawet, że siedział na gzymsie komina i matka go stamtąd zdjęła. Wszystkie dzieci mogą mieć takie wspomnienia, jeżeli skronie dłońmi przycisną, bo przecież wszystkie były ptaszkami, zanim stały się ludźmi, i dlatego są takie dzikie w pierwszych tygodniach po urodzeniu, i najczęściej łaskotek mają koło łopatek, tam gdzie pierwiej rosły skrzydełka. Tak mi to wytłumaczył Danio.

Bo trzeba wam wiedzieć, że z naszymi historyjkami jest zwykle tak: najpierw ja coś opowiadam Daniowi, potem on mi to opowiada po swojemu i okazuje się, że z tego zrobiła się zupełnie inna powiastka. Więc znowu ja mu ją opowiadam z różnymi dodatkami, potem on znowu mnie i w końcu żaden z nas nie wie, czy to moja, czy Dania bajka.

Otóż Piotruś Pan wymknął się przez okno, bo okno nie było zakratowane. Z gzymsu, na którym stanął, ujrzał szczyty drzew rosnących w Parku Leśnym i w tej chwili zapomniał, że jest małym dzieciątkiem, w długiej nocnej koszulce, uniósł się w górę i poleciał hen, ponad kominy i dachy domów, prosto do Parku Leśnego. Troszkę to dziwne, że Piotruś latał bez skrzydeł, ale obie łopatki swędziały go zupełnie tak, jakby jeszcze miał skrzydełka, a zresztą

może moglibyśmy wszyscy latać, gdybyśmy mieli taką niezachwianą wiarę w naszą możliwość latania, jaką miał tego wieczora odważny Piotruś Pan.

Doleciawszy do Parku Leśnego, Piotruś wylądował szczęśliwie między Pałacem Dziecinym a Wężowym Jeziolem. Czym prędzej rzucił się na trawnik i tarzał się po murawie, wierzgając nóżkami jak małe żrebiątko. Piotruś zapomniał zupełnie, że był człowiekiem, i myślał, że jest znowu ptakiem, tak jak wtedy, kiedy był na Ptasiej Wyspie. Otworzył usta chcąc złapać przelatującą muchę, ale mucha mu uciekła. Więc machnął za nią rączką, czego, rzecz prosta, ptaszki nie robią nigdy.

Piotruś poznał zaraz, że musi być „po dzwonku”, bo mnóstwo elfów uwijało się dokoła. Elfy były tak zajęte, że wcale nie spostrzegły Piotrusia. Jedne przyrządzały śniadanie, inne doily maleńkie krowy, inne jeszcze nosiły wodę w konewkach. Piotrusiowi chciało się także pić, więc poleciał ku Okrągłemu Stawowi i zanurzył dzióbek w wodzie. Naturalnie Piotrusiowi zdawało się tylko, że zanurzył swój dziób, bo naprawdę to zamaczał tylko nos i tak mało nabrał nim wody, że wcale nie ugasił pragnienia. Więc spróbował splukać z siebie kurz, podleciał nad staw, skoczył w dół i od razu znalazł się pod wodą. Jeżeli ptaszek spuszcza się na wodę, to rozciąga skrzydełka, ochlapie się, wypłuska i wychodzi z wody zupełnie suchy, ale Piotruś nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi, i bardzo zgnębiony wyszedł z wody. Wreszcie postanowił spędzić noc na gałęzi drzewa rosnącego tuż nad Aleją Dzidziusiów.

Trudno mu było z początku utrzymać równowagę na gałęzi, ale w końcu usadowił się jakoś i zasnął. Dobrze przede dniem obudził się i drżąc od nocnego chłodu mruknął:

– Jak żyję, nie spędziłem na dworze takiej zimnej nocy.

Naprawdę, to będąc ptaszkiem sypiał na drzewach w noc o wiele chłodniejszą jeszcze, ale zimno dokucza znacznie mniej ptaszkowi okrytemu piórkami i pierzem niż małemu chłopczynie mającemu za całe odzienie cienką koszulkę nocną. Piotrusiowi było jakoś niedobrze. Tęsknił za czymś bardzo, ale główkę miał tak skołataną, że ani rusz przypomnieć sobie nie mógł, czego mu właściwie brakuje. Nagle rozległ się jakiś łoskot i coś tak mocno wstrząsnęło Piotrusiem, że omal go z drzewa nie zrzuciło. Piotruś obejrzał się niespokojnie i nie domyślił się nawet, że to on sam kichnął tak gwałtownie. I coraz mocniej chciał czegoś, ale nie wiedział czego. Z pewnością pragnął, żeby mu mama nos i obtarła, ale że nie mógł zdać sobie sprawy ze swego pragnienia, więc postanowił poradzić się elfów, bo słyszał nieraz, że elfy umieją na wszystko znaleźć dobrą radę. Wychyliwszy się spośród gałęzi dostrzegł Piotruś dwa elfy, które objawiając się wpół, w wesołych płasach krążyły po Alei Dzidziusiów. Elfy dają się czasem na ptaki, ale jeżeli się kto do nich zwróci uprzejmie, nigdy mu nie odmawiają pomocy. Toteż Piotruś zdziwił się i rozgniewał, bo kiedy zeskoczywszy na ziemię przemówił do elfów, oba elfy na jego widok rzuciły się do ucieczki. Także pewien stary elf, który rozparty na krześle ogrodowym spokojnie czytał pocztówkę zgubioną w parku przez jakiegoś pana, na głos Piotrusia porwał się z miejsca i z przeraźliwym krzykiem pobiegł się ukryć za wielki kielich tulipana.

W którąkolwiek stronę skierował się Piotruś, wszystko umykało przed nim. Kilkunastu drwali, zajętych obalaniem trującego grzyba, rzuciło się do ucieczki w takim pośpiechu, że nie zdążyli nawet pozbierać narzędzi leżących na ziemi. Dziewczyna wracająca od doju wypuściła z ręki skopek z mlekiem i przewróciła się na nim. Cały park był w ruchu. Tłumy elfów gnały to w tę, to w ową stronę i pytały się nawzajem, czy bardzo się boją. Jedne gasiły światła, inne barykadowały drzwi, a z głębi pałacyku królowej rozlegało się głuche warczenie bębnow i dźwięk trąb, świadczące, że królewska gwardia gotuje się do obrony zamku. Wkrótce cały regiment ułanów, uzbrojonych w palmowe kolce, wymaszerował na Dużą Drogę. Piotruś słyszał zewsząd krzyki i nawoływania, że „człowiek” został w parku „po dzwonku”. I nie przyszło mu nawet na myśl, że to on sam jest tym człowiekiem. Było mu coraz duszniej i dałby nie wiem co, żeby się dowiedzieć, co właściwie dzieje się z jego noskiem. Ale nie miał

się kogo poradzić, bo wszystko w popłochu uciekało przed nim. Nawet armia ułanów, ujrzawszy go na szczycie Wyścigowej Góry, co tchu umknęła w jedną z bocznych ścieżek, pod pozorem, że z ukrycia lepiej obserwować ruchy nieprzyjaciela.

Widząc, że z elfami nie dojdzie dziś do ładu, Piotruś postanowił zwrócić się o pomoc do ptaszków, ale zaraz przypomniał sobie, że kiedy wieczorem próbował usadowić się pośród gałęzi, wszystkie ptaszki w popłochu opuściły drzewo. Serduszko Piotrusia ścisnęło się boleśnie, zrozumiał nagle, że nie wiadomo czemu wszystko, co żyje, unika go jak wroga. Rozżalony Piotruś usiadł na ziemi i rozplakał się rzewnie. W zmartwieniu swoim nie zastanowił się nawet nad tym, że siedzi zupełnie nieprawidłowo, bo przecież ptaszki nie używają do siadania tej części ciała, którą teraz posługiwał się Piotruś. I dobrze, że o tym nie pomyślał, bo byłby w końcu stracił wiarę w swoją możliwość latania, a kto utraci wiarę w siebie, nigdy już nie wzbije się ponad ziemię. Ptaki dlatego latają tak nieustraszenie, że nigdy wiary w swój lot nie tracą. Bo mieć wiarę to to samo, co mieć skrzydła do lotu.

Nikt, z wyjątkiem ptaków, nie może przedostać się na wyspę położoną pośrodku Wężowego Jeziora, bo cała wyspa otoczona jest ostrokołem, a na każdym jego palu siedzi ptak – wartownik, który czuwa nad wyspą we dnie i w nocy. Kiedy Piotruś przelatywał nad ostrokołem, warty spały jeszcze; Piotruś niepostrzeżenie spuścił się na ziemię i serduszko zabiło mu żywiej, kiedy poznał, że jest znowu w swojej ojczyźnie. Udał się prosto do kruka Salomy, który wstawał najwcześniej ze wszystkich ptaków, i opowiedział mu wszystko, co zaszło od czasu, jak opuścił Ptaszą Wyspę. Kruk wysłuchał w milczeniu jego przygód, a potem bez ogródek powiedział mu, co myśli o tym.

– Jeżeli mi nie wierzysz, to przyjrzyj się swojej koszulce nocnej – zakończył.

Piotruś popatrzył najpierw na swoją koszulkę, a potem na śpiące na drzewach ptaszki. Nie – żaden ptaszek koszulki nie miał na sobie.

– Czy wszystkie twoje kończyny są opatrzone szponami? – pytał dalej nieubłagany Salomo i znowu ujrzał Piotruś, że rączki jego i nóżki zakończone są paluszkami. Aż mu się gorąco zrobiło, tak się przeraził tym odkryciem.

– Nastrosz pióra! – rozkazał stary Salomo, ale na próżno zrozpaczony Piotruś próbował spełnić jego polecenie. Nie miał ani jednego piórka. Cały drżący popatrzył na Salomę i raptem przypomniał sobie otwarte okno sypialnego pokoju i pewną śliczną, młodą panią, która go bardzo mocno kochała.

– To już chyba wrócę do mojej matki – bąknął nieśmiało.

– Z Bogiem! – mruknął Salomo i drwiąco popatrzył na niego. Piotruś się ociągał.

– Czemuż nie lecisz? – zagadnął go po chwili kruk.

– A czyja... czy ja mogę jeszcze latać? – zająknął się Piotruś. Oczywiście, że Piotruś stracił wiarę w siebie.

– Biedny, mały niby – człowieczku – pokiwał głową Salomo (który w gruncie rzeczy miał bardzo dobre serce) – nigdy już, nawet w wietrzne dni, nie będziesz mógł się unieść w powietrze. Na zawsze już musisz pozostać na Ptasiej Wyspie.

– I nigdy już nie wrócę do Parku Leśnego? – żałośnie pytał Piotruś.

– A jakże dostaniesz się przez wodę? Widząc jednak smutek Piotrusia, Salomo przyrzekł wyuczyć go wszystkiego, co mogło mu się przydać w obecnych jego warunkach.

– A czy ja już nigdy nie wyrosnę na prawdziwego człowieka? – pytał jeszcze Piotruś.

– Nigdy.

– I nigdy nie będę prawdziwym ptakiem?

– Nie będziesz.

– Więc cóż będzie ze mnie?

– Będzie to, co i teraz. Ni to, ni owo – pokiwał głową Salomo i uderzony trafnością swej uwagi, z zadowoleniem podrapał się w łebek.

Ptaki, zamieszkujące wyspę, nie oswoiły się nigdy ze zmianą, jaka zaszła w Piotrusiu. Wszystko, co robił, śmieszyło je i dziwiło, tak jakby Piotruś zmieniał się nieustannie. Tymczasem on był zawsze taki sam, tylko ptaszki zmieniały się ciągle. Ledwie wykluły się z jajek, a już śmiały się z Piotrusia na całe gardło. Ledwie im urosły skrzydełka, posyłano je do ludzi, a z jajek wykluwało się nowe pokolenie piskląt. Nieraz zdarzało się, że samiczki znudzone długim wysiadywaniem piskląt szeptały leniuszkom wygrzewającym się w skorupkach, że teraz mogą zobaczyć, jak Piotruś Pan się myje albo pije wodę, a wtedy ptaszki wyskakiwały z ciekawości do góry, tłukły skorupki i wykluwały się o cały jeden dzień wcześniej, niż by należało. Tysiące ptaszków zlatywało się co dzień dookoła niego i przyglądało mu się z takim samym zajęciem, z jakim wy patrzycie na pawia rozpościerającego swój ogon. I wszystkie darły się z podziwu, kiedy Piotruś brał w rączkę kromkę chleba, zamiast ją podjąć z ziemi ustami. Na rozkaz Salomy ptaszki znosiły mu codziennie kawałki chleba w dziobach, bo, ku wielkiemu ich zgorszeniu, Piotruś nie chciał jadać much i robaków. Toteż jeżeli ci kiedy ptak jaki porwie kromkę chleba, to nie krzycz na niego: „Żarłok! Żarłok!”, bo z pewnością ptak odniesie twoją kromkę Piotrusiowi Panu.

Piotruś nie nosił już teraz koszulki nocnej, bo coraz to któryś z ptaków prosił go o strzępek płótna dla wzmocnienia swojego gniazdka, a Piotruś zaraz mu kawałeczek oddzierał i byłby całą rozdarował, gdyby się w sprawę nie wdał Salomo i nie kazał mu ukryć reszty koszulki w bezpiecznym schowku, przykrytym kamieniem. Piotruś biegał więc nago po dworze, ale nie myślcie, że mu z tym źle było. Przeciwnie, Piotruś był zawsze wesół, a to dlatego, że Salomo dotrzymał obietnicy i nauczył go wielu rzeczy, które doskonale umieją ptaki. Więc nauczył go radować się z byle czego, nauczył go pracować z ochotą i nauczył go wierzyć, że ta praca jest czymś potrzebnym i ważnym. Ledwie Piotruś oczy otworzył z rana, zaraz zaczynał pomagać ptakom przy budowaniu gniazd i wkrótce umiał sklecić gniazdko nie gorsze od gniazd gołębic. Tylko ziębom dogodzić nigdy nie mógł, więc wykopywał w pobliżu ich gniazd zgrabne dołeczki na wodę i paluszkami wybierał spod kamieni robaczki dla ich piskląt. Wkrótce posiadał całą wiedzę ptaków: po smaku odróżniał wiatr wschodni od zachodniego, widział, jak trawa rośnie, i słyszał ruch najdrobniejszych nawet owadów, przechadzających się w głębi spróchniałych drzew. Salomo nauczył go także, co należy czynić, żeby mieć zawsze w sercu radość i wesele. Wszystkie ptaszki mają tę radość w sercach i dlatego śpiewają tak wesoło i radość ta nie opuszcza ich nigdy, chyba że im kto z gniazdka jajka wybierze. Salomo znał się doskonale na ptasich sercach, bo ciągle miał z ptakami do czynienia, więc nie dziw, że mógł i Piotrusiowi tej cennej nauki udzielić.

Piotruś czuł w sercu taką radość, że musiał całymi dniami tańczyć i śpiewać z uciechy, tak jak to robią ptaszki. Ale że był i człowiekiem po troszku, więc nie wystarczyło mu samo śpiewanie i wkrótce wykręcił sobie fujarkę z trzciny i wygrywał na niej prześliczne melodie. Wieczorem siadywał na brzegu jeziora i naśladował na fujarce ciche westchnienie wiatru i śpiewne pluskanie fal. Czasem chwycił dłonią promienie księżyca i pakował je do fujarki, a wtedy fujarka grała tak pięknie, że ptaszki dopytywały się wzajemnie, czy to naprawdę złota rybka plusnęła w jezioro, czy też Piotruś wygrywa piosenkę o „złotej rybce”?

Czasem znowu Piotruś opowiadał na fujarce, jak to pisklęta na świat przychodzą. Wtedy samiczki unosiły się w gniazdku i oglądały się poza siebie, dumne, że zniosły już białe jajeczko.

Kto często bywa w Parku Leśnym, zauważył pewnie, że kasztan różowy, rosnący koło kamiennego mostu, kwitnie najwcześniej ze wszystkich drzew. Mało osób jednak wie, czemu się tak dzieje. Oto Piotruś, stęskniony za wiosną, wygrywa wieczorami piosenki o jej nadejściu, a że pocziwy kasztan rośnie najbliżej i słyszy go najlepiej, więc myśli, że wiosna naprawdę już się zbliża, i zaraz zaczyna kwitnąć.

Czasem znowu Piotruś zapadał w zadumę; skoczne i wesołe piosenki zmieniały się w żałosne i tęskne. Ach, bo Piotruś widział poprzez łuk kamiennego mostu cudny Park Leśny, do którego jednak dostać się nie mógł! Piotruś dobrze wiedział, że prawdziwym człowiekiem nigdy nie będzie, i niewiele mu nawet na tym zależało. Ale jakże gorąco pragnął bawić się tak, jak się bawią prawdziwe dzieci, a wiadomo, że Park Leśny jest wymarzonym miejscem dla wszystkich zabaw. Ptaszki nieraz opowiadały mu, jak świetnie bawią się w parku różne małe dzieci, a wtedy gorzkie łzy napływały do oczu Piotrusia.

Pewnie dziwicie się, że Piotruś nie przepłynął Wężowego Jeziora, ale Piotruś nie umiał pływać, a na wyspie nikt, prócz kaczek, nie posiadał sztuki pływania. A kaczki były takie głupie! Wprawdzie z ochotą ofiarowały mu się za nauczycielki, ale uczyły go mniej więcej tak: „Siądź na wodzie, jak ja, i wiosłuj nogami, jak ja moimi wiosłuję”. Piotruś próbował po sto razy usiąść jak kaczki i po sto razy wpadał pod wodę, zanim zaczął wiosłować nogami. A kaczki twierdziły, że to jest takie łatwe, że nie warto czasu tracić na objaśnianie tak prostej rzeczy. Przez parę dni bawiła na wyspie para łabędzi, którą Piotruś karmił swoim chlebem, w nadziei, że ptaki nauczą go za to pływania, ale kiedy mu zabrakło chleba, niewdzięczne łabędzie syknęły na niego gniewnie i pożeglowały w dal.

Już zdawało się raz Piotrusiowi, że znalazł sposób przedostania się z wyspy do parku, bo pewnego dnia jakaś cudowna biała rzecz, podobna do gazety porwanej wiatrem, ukazała się w górze ponad wyspą jak ptak, któremu postrzał złamał skrzydło. Zatrzepotała się parę razy w powietrzu i runęła na ziemię. Piotruś przeląkł się trochę, ale ptaki wyjaśniły go, że to jest latawiec, który wyrwał się z ręki jakiegoś chłopczyka w Parku Leśnym i przywędrował aż tutaj. A potem wyśmiewały Piotrusia, że się tak rozkochał w tym latawcu. Piotruś nie rozstawał się z nim przez cały dzień, a nawet kiedy zasypiał, kładł go koło siebie i obejmował go jedną rączką. Nic dziwnego, że Piotruś go tak pokochał, bo przecież latawiec ten należał przedtem do prawdziwego chłopczyka.

Tego to już ptaszki zrozumieć nie mogły, ale że starsze ptaki czuły szczerą wdzięczność dla Piotrusia za to, że mnóstwo piskląt wyleczył z odry, więc ofiarowały się pokazać mu, jak się latawca puszcza w powietrze. Sześć ptaków uczepiło się jego dzioba i ku szalonej radości Piotrusia latawiec uniósł się w górę, a nawet latał wyżej od ptaków.

Piotruś wołał: „Jeszcze!”, a gdy ptaszki niezmordowanie powtarzały zabawę, Piotruś zamiast im podziękować klaskał w ręce z uciechy i wołał: „Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!” Widać, że niezupełnie zapomniał, że był kiedyś prawdziwym chłopczykiem.

I raptem w mężnym sercu Piotrusia zrodził się plan następujący: poprosi ptaszki, żeby raz jeszcze uniosły w górę latawiec, a wtedy uczepi się jego ogona i uniesie się nad Park Leśny. W okamgnieniu cała setka ptaków zaprzęгла się do latawca i Piotruś oburącz chwycił się jego ogona... ale zanim doleciał do Parku Leśnego, latawiec na znacznej już wysokości rozleciał się na kilka kawałków i Piotruś byłby się pewnie utopił w Wężowym Jeziorze, gdyby nie pomoc niewdzięcznych łabędzi, które go wydobyły z wody i odwiozły na grzbietach do Ptasiej Wyspy. Po tej przygodzie ptaszki stanowczo odmówiły mu swej pomocy w tak karkołomnych wyprawach.

I nigdy by się Piotruś nie był dostał do Parku Leśnego, gdyby mu nie przybył z pomocą stateczek Shelleya.

Rozdział III

Gniazdeczko drozdów

Pewnego razu przechadzał się po Parku Leśnym młody człowiek, który nazywał się Shelley. Shelley był już od dawna dorosły, ale wcale na to nie wyglądał. Shelley był poetą, a poeci zawsze robią takie wrażenie, jakby coś z dziecka w nich pozostało. Poeci wcale nie dbają o pieniądze i radzi są, jeżeli mają tyle, ile im trzeba na przeżycie jednego dnia. A właśnie Shelley miał ponadto banknot dziesięciofuntowy. Więc zrobił zeń mały stateczek i puścił go na Wężowe Jezioro.

Stateczek dopłynął szczęśliwie do Ptasiej Wyspy, a warta odniosła go do kruka Salomy. Salomo myślał, że to jest zlecenie jakiejś damy, domagającej się „towaru w najlepszym gatunku”. Salomo otrzymywał co dzień całe tuziny takich listów. Jeżeli list mu się podobał, wysyłał towar wyborowy, ale najczęściej bileciki te tak go gniewały, że bądź wcale nie odpowiadał na nie, bądź też wysyłał całe gniazdko byle jakich piskląt.

Salomo najlepiej lubi, żeby wszystko zostawić jego własnej głowie – bo jeśli kto mu tylko napomknie, że tym razem spodziewa się chłopczyka, to, jak dwa a dwa cztery, dostanie znowu dziewczynkę. Każdy, kto pisze do Salomy, czy by to była dorosła osoba, czy mały chłopczyk, który koniecznie pragnie mieć małą siostrzyczkę, powinien bardzo dokładnie podać swój adres. Nie macie pojęcia, ile niemowląt rozsyła co dzień Salomo pod fałszywym adresem.

Strach, co sobie Salomo głowy nałamał, kiedy mu doręczono stateczek Shelleya. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, co ten bilecik oznacza, więc wezwał całą Wielką Radę do pomocy. Radcy spoglądali na banknot to jednym, to drugim okiem, każdy przejechał po nim szponem i wreszcie orzekli, że list ten musi pochodzić od jakiejś wysoko postawionej osobistości, która życzy sobie mieć dziesięcioro dzieci na raz. Twierdzenie to opierali na cyfrze dziesięć wypisanej wyraźnie na banknocie.

– Istne wariactwo! – krzyknął w pasji Salomo i podarował banknot Piotrusiowi.

Wszystkie niepotrzebne rzeczy dawano Piotrusiowi do zabawy.

Ale pomimo że Piotruś tylko przez tydzień był prawdziwym chłopczykiem, niejedno zapamiętał z pobytu swego między ludźmi i dobrze wiedział, jaką wartość ma taki banknot.

Toteż z radością przyjął podarunek, bo zaraz mu przyszło na myśl, że z pomocą tak znacznej ilości pieniędzy bez trudu dostanie się do Parku Leśnego. Tysiąc pomysłów snuło mu się po głowie, ale Piotruś, nauczony doświadczeniem z latawcem, postanowił bardzo dokładnie rozważyć wszystkie przeciwności, zanim rozpocznie nową wyprawę. Zaraz też objaśnił ptakom, jaką wartość ma ten stateczek Shelleya, bo wiedział, że ptaki są zbyt dobrze wychowane, by żądać od niego zwrotu rzeczy, która została mu ofiarowana. Rzeczywiście, ptaki odebrały mu banknotu, ale tak kręciły głowami i tak koso spoglądały na Salomę, że zawstydzony kruk zaczął sam powątpiewać o swoim rozumie, odleciał na drugi koniec wyspy i z wielkiego wstydu schował głowę pod skrzydło. Piotruś wiedział, że bez pomocy Salomy nie da sobie rady na wyspie, więc podążył za nim i w serdecznych słowach dodał mu otuchy.

Piotruś użył jeszcze innego sposobu, by zupełnie pozyskać przyjaźń starego kruka. Wiedział, że Salomo pragnie po wysłużeniu emerytury przenieść się do Gaju Figowego i tu żyć na pieńku cisowym z pensji i kapitaliku, który od lat już całych składał w starej pończosze. Pończochę tę, należącą zapewne do jakiejś zwyczajnej osoby, wiatr zaniósł na Ptaszą Wyspę, a Salomo użył jej za kasę oszczędności. Pończocha zawierała już: sto osiemdziesiąt ośródek

chleba, trzydzieści cztery orzechy, szesnaście skórek, jedną wycieraczkę do piór i jedno sznurówadło od bucika – ale Salomo postanowił nie podawać się do dymisji, póki pończocha nie będzie wyladowana po brzegi. Salomo obliczył, że mniejszy kapitał nie wystarczyłby mu do spokojnego życia w Gaju Figowym.

Otóż Piotruś pozyskał dozgonną przyjaźń Salomy w ten sposób, że ostro zakończonym patyczkiem odciął ze swego banknotu kawałek papieru wielkości sześciu pensów i ofiarował go krukowi. Kruk nie posiadał się z radości i od tej chwili przemyślał wraz z Piotrusiem nad jego podróżą do Parku Leśnego. Całymi dniami roztrząsali najróżniejsze projekty i wreszcie zwołali walne zgromadzenie wszystkich drozdów zamieszkujących Ptaszą Wyspę. A czemu wybrali drozdy – o tym się zaraz dowiedzie.

Posiedzenie zagał Salomo. Piotruś odstąpił głos krukowi, bo Salomo zawsze się gniewał w czasie przemówień innych mówców. Salomo zaczął od wyrażenia szanownemu zgromadzeniu drozdów głębokiego podziwu dla genialnych zdolności, jakie wykazują przy budowie swych gniazd. Szmer zadowolenia rozległ się między drozdami, bo ptaki nieustannie toczą spory o to, czyje gniazdko jest najtrwalsze i najpiękniejsze.

– Nie wszystkie ptaki – mówił Salomo rad, że udało mu się wprawić drozdy w dobry humor – nie wszystkie ptaki wylepiają gniazda swoje gliną. Toteż nie dziw, że gniazda ich są przemakalne!... – Tu Salomo z dumą powiódł okiem po zgromadzeniu, zadowolony ze znalezienia tak świetnego argumentu.

Na to jejmość zięba, która nieproszona wcisnęła się na zgromadzenie, pospieszyła wetknąć swoje trzy grosze.

– Przecież gniazda buduje się dla piskląt, nie na wodę! – zaskrzeczała drwiąco.

Drozdy spojrzały niespokojnie na Salomę; kruk, zaskoczony uwagą jejmości zięby, wypił raz po raz kilka łyków wody. Biedaczysko zapomniał języka w dziobie.

– Ogólnie wiadomo – zaczął znów po chwili – jakie ciepłe są gniazdzka wylepione gliną.

– Ogólnie wiadomo – wrzasnęła w odpowiedzi zięba – że jeśli woda napłynie do gniazdzka, z którego nie ma odpływu, to wszystkie pisklęta się potopią!

Drozdy błagalnie spojrzały na Salomę, spodziewając się, że jednym słowem ukróci gadaninę jejmości zięby, ale zakłopotany Salomo znowu zamilkł.

– Pociągnij no jeszcze łyczek, staruszkule! – zachęcała drwiąco jejmość zięba. Na imię jej było Kaśka, a wiadomo, że wszystkie Kaśki są strasznie przekorne.

Salomo wypił znowu łyk wody i jakoś mu się lżej zrobiło.

– Jestem pewien, że gdyby gniazdo zięby wpadło do Wężowego Jeziora, rozleciałoby się w kawałki – rzekł – a gniazdo drozdów płynęłoby po wodzie jak najlepszy żaglowiec!

Dopieroż to drozdy zaczęły bić brawo. Nareszcie dowiedziały się, do czego służy glina, którą wylepiały gniazda. A gdy jejmość zięba zaczęła drzeć się, że gniazd nie buduje się na Wężowym Jeziorze, tylko na drzewach, wyproszono ją z sali obrad. Potem szło już wszystko doskonale, aż do chwili kiedy Salomo powiedział:

– Nasz młody przyjaciel Piotruś Pan pragnie gorąco przepłynąć Wężowe Jezioro i prosi szanowne zgromadzenie o udzielenie mu pomocy przy budowaniu statku.

Na to między drozdami powstała taka wrzawa, że Piotruś był pewny, że sprawa jego przepadła zupełnie.

Ale Salomo tłumaczył dalej jasno i dobitnie, że Piotrusiowi nie idzie o statek, jakiego zwykle używają ludzie. Chciałby po prostu mieć gniazdko, byle tak duże, by móc pomieścić się w jego wnętrzu.

Widoczne było, że prośba ta nie trafia drozdom do gustu.

– My tam nie mamy czasu do tracenia, mamy dość swej roboty – mruknął wreszcie jeden ze starszych drozdów.

– Zapewne – odparł Salomo – toteż Piotruś Pan nie chce, żebyście mu pomagali za darmo. Ale, jak wiecie, warunki jego materialne poprawiły się bardzo w obecnej chwili. Właśnie Piotruś Pan polecił mi zawiadomić was, że każdy robotnik otrzyma sześć pensów dniówki!

Drozdy zatrzepotały z radości i zaraz przystąpiły do budowy statku Piotrusia. Musiano przerwać wszystkie inne roboty. Była to właśnie pora zakładania gniazd, ale drozdy nie miały czasu myśleć o sobie, bo całymi dniami pracowały dla Piotrusia. Wkrótce też zapas małych drozdów zupełnie się wyczerpał i Salomo był w niemałym kłopotcie, bo nie wiedział, czym by je zastąpić. A właśnie zamówień na pisklęta drozdów napływało mnóstwo, bo najtłuściejsze dzieci, te, co tak wspaniale prezentują się w wózkach, a postawione na ziemi przewracają się co krok, pochodzą od drozdów i wszystkie panie przepadają wprost za nimi. Toteż Salomo nie miał innego sposobu, jak zwołać wszystkie wróble gnieźdzące się pod strzechami domów i szop i dać im za mieszkanie opuszczone gniazdko drozdów. Wróble całą chmarą zleciały się na Ptaszą Wyspę, a gdy się ich pisklęta wykluły, Salomo porozsyłał je paniom, zaręczając, że są to najprawdziwsze drozdy.

Rok ten nazywano na Ptasiej Wyspie Wróblim Rokiem i jeśli zdarzy ci się spotkać w parku kogoś, co się puszy i nadyma, i wyobraża sobie, że jest wart o wiele więcej niż inni ludzie, to możesz być pewny, że urodził się we Wróblim Roku. Spytaj go zresztą o to.

Piotruś sumiennie płacił robotnikom każdego wieczora. Drozdy z powagą zasiadały na gałęziach drzew i czekały cierpliwie, żeby Piotruś odciął sześć pensów ze swego banknotu. Potem każdy po kolei podlatywał ku Piotrusiowi, brał w dziobek należący mu się paperek i ustępował miejsca drugiemu. Ślicznie to wyglądało.

Po kilku miesiącach uciążliwej pracy stateczek Piotrusia był gotów. Nie potrafię opisać wam radości i dumy, jaką wzbierało serduszko Piotrusia na widok rosnącego z dnia na dzień gniazdko. Ledwie drozdy rozpoczęły budowę siateczka, Piotruś pokochał go tak mocno, że nie opuszczał go ani na chwilę, a nawet w nocy nie chciał się z nim rozłączać. Kładł się spać tuż obok niego i często przez sen gładził go rączką i przemawiał doń najczulszymi wyrazami. Ledwie glina wylepiająca wnętrze gniazdko przeszła nieco, Piotruś zamieszkał w nim na dobre. Do dzisiaj jeszcze w nim sypia, a co najsmieszniejsze, że musi leżeć w nim zwinięty w kłębuszek, jak kociak, bo inaczej nie mógłby się w nim pomieścić. Wnętrze gniazdko jest brunatne – na zewnątrz przeważnie zielone, bo ptaszki przystroili je mchem i trawą. Ma to tę praktyczną stronę, że jeśli się wierzch podrze albo rozeschnie, można go zawsze zastąpić nowym. Z gniazdko sterczą gdzieniegdzie pióreczka, które drozdy potraciły przy budowaniu i wmurowały w gniazdeczko.

Ptaki bardzo zazdrościły drozdom ich pracy i zapowiadały, że gniazdko nie utrzyma się na wodzie. Ale gniazdko leżało na wodzie jak najlepsza łódeczka. Więc ćwierkały znowu, że tylko patrzeć, jak woda naleje się do środka. Ale woda się nie nalała i gniazdko było zupełnie suche. Więc zaczęły wołać, że Piotruś nie będzie mógł płynąć po Wężowym Jeziorze, bo nie ma wiosła. Drozdy z niepokojem spojrzały na Piotrusia, ale Piotruś zapewnił je, że wiosła wcale mu nie potrzeba, bo do statku przymocuje żagiel. To powiedziawszy, wydobył ze schowka resztki swojej nocnej koszulki i nie zważając, że każdy mógł poznać, że to jest koszulka, sporządził z niej wspaniałe żagiel. W parę dni później, kiedy ptaszki zasnęły twardo, a księżyc oświeślał jasno wyspę, Piotruś po kryjomu wybrał się w podróż. Ale zanim odbił od brzegu, bezwiednie złożył obie rączki i wzniosł oczy ku niebu, a potem ujął ster i popłynął na zachód.

Co prawda Piotruś przyrzekł drozdom, że zanim przedsięwzięcie wyprawę do Parku Leśnego, wypróbuje stateczek pod ich okiem. Zaledwie jednak dojrzał pod łukiem kamiennego mostu drzewa parku, ciemniejące w księżycowym świetle – gorący rumieniec oblał jego twarzyczkę. Zapomniał o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, i zaczął płynąć naprzód. Kto wie, czy Piotruś Pan nie był ostatnim z dzielnych żeglarzy, który popłynął na zachód, by od-

krywać nowe, nieznane kraje... Statek Piotrusia kręcił się najpierw w kółko i ciągle powracał do brzegu. Wtedy Piotruś rozpiął żagiel i puścił statek na los szczęścia. Wicher wzdał żagiel i począł gwałtownie pchać statek ku przeciwnemu brzegowi, gdzie majaczyły groźne zarysy skał, o które statek mógł się rozbić jak łupina. Piotruś szybko pociągnął żagiel ku sobie i dzięki temu przestrzeń między statkiem a skalistym brzegiem poczęła się zwiększać; teraz zaczął dąć wiatr od wschodu i z taką siłą rzucił stateczkiem o podstawę kamiennego mostu, że omal go nie rozbił na kawałki. Na szczęście udało się Piotrusiowi przebrnąć jakoś fatalny przesmyk pod łukiem mostu i wypłynąć na pełne jezioro. Możecie sobie wyobrazić, jak się ucieszył, kiedy zobaczył, że jest w Parku Leśnym. Próżno jednak usiłował wylądować, cały brzeg był szczelnie obmurowany i nigdzie nie można było zarzucić kotwicy. Kotwicą statku był duży kamień przywiązany do sznurka urwanego z popsutego latawca. Nagle pęd fali rzucił gniazdko na skałę podwodną, a uderzenie było tak silne, że Piotruś wypadł z gniazdka i omal się nie utopił. Ostatkiem sił wydzwignął się w górę i wskoczył do statku z powrotem. Szum i łoskot wody ogłuszał zupełnie małego żeglarza. Paluszki jego tak zgrabiały od zimna, że każdej chwili mogły wypuścić ster. Szczęściem udało mu się nareszcie wpłynąć do cichej i bezpiecznej zatoki.

Nie myślcie jednak, że nic już teraz nie groziło Piotrusiowi Panu, bo ledwie dopłynął do brzegu, tłumy elfów zebrały się na nim i poczęły krzyczeć, żeby nie ważył się wylądować w parku, bo już od dawna jest „po dzwonku”. Jedne machały rękami, inne potrząsały wojowniczo kłaczami kaktusów, jeszcze inne przywlokły zgubioną w parku strzałę do łuku i ustawiły ją na wprost Piotrusia, jakby zamierzały wystrzelić z niej jak z armaty.

Próżno Piotruś zapewniał je, że nie jest prawdziwym człowiekiem i że nie ma zamiaru wyrzucić im nic złego, elfy nie przestawały mu grozić śmiercią, w razie gdyby ośmielił się wyjść na brzeg. Piotruś zniecierpliwił się w końcu i zawołał, że jeśli go nie zostawią w spokoju, to przepędzi je, gdzie pieprz rośnie. Elfy ustawiły się do ataku i kto wie, co by się było stało, ale raptem pomiędzy kobietami wszczął się jakiś ruch, rozległy się krzyki i piski, bo oto elficzki spostrzegły, że żagiel w łodzi Piotrusia zrobiony jest z dziecięcej koszulki nocnej. Wszystkie natychmiast zapłonęły gorącą macierzyńską miłością ku Piotrusiowi i do łez się martwiły, że są zbyt małe, żeby go wziąć na kolana, upieścić i utulić. Gniew elfów stopniał także wobec roztkliwienia ukochanych małżonek; setki rąk wyciągnęły się z pomocą ku Piotrusiowi, a gdy wylądował i umocował swe gniazdko na brzegu, elfy w triumfie powiodły go przed oblicze królowej. Królowa długo naradzała się z ministrami, po czym orzekła, że wobec tego, że Piotruś nie jest prawdziwym człowiekiem, tylko „ni tym, ni owym”, będzie mógł pozostawać w Parku Leśnym i „po dzwonku”. Od tej pory żyje Piotruś z elfami w najlepszej zgodzie.

Tak się odbyła pierwsza wyprawa Piotrusia Pana do Parku Leśnego. Dawno to już, bardzo dawno temu, ale, jak wiecie, Piotruś nie rośnie i nie zmienia się wcale i dziś, tak samo jak i przed laty, jeździ po Wężowym Jeziorze w gniazdeczku drozdów, z żagielkiem zrobionym z koszulki nocnej. I gdybyście go mogli widzieć (choć niestety jest to zupełnie niemożliwe), zobaczylibyście, że kiedy Piotruś żegluguje, to siedzi w stateczku, bo żagiel popycha gniazdko na wodę, a kiedy stoi, to wiosłem pruje fale wodne. Bo teraz Piotruś ma i wiosło; później do-
wiecie się, skąd się wzięło.

Noc w noc, zanim świt nastanie, na długo przed otwarciem parku, wraca Piotruś na Ptasią Wyspę. Piotruś nie jest prawdziwym człowiekiem, więc musi pozostać niewidzialnym dla oczu ludzkich. Ale każdej nocy spędza w parku po kilka godzin i bawi się jak prawdziwe dziecko. To znaczy, Piotruś wyobraża sobie tylko, że tak jak on bawią się prawdziwe dzieci, i nie ma nic zabawniejszego nad to jego przekonanie, bo prawdę mówiąc, Piotruś bawi się zawsze na opak.

Nikt nie może pouczyć Piotrusia, jak się bawią prawdziwe dzieci, bo elfy przebywają w swoich domkach aż do zmroku, więc nie bardzo wiedzą, co się za dnia w parku dzieje, a jeśli już zmuszone są wyjść na dwór, to przede wszystkim myślą o tym, jak by się ukryć przed ludźmi – ptaki znowu pewne są, że widzą wszystko, ale z opowiadań ich i objaśnień nic wyrozumieć nie można. Jeszcze zabawę w „chowanego” wytłumaczyły Piotrusiowi jako tako, ale czemu na przykład wszyscy chłopcy czują taki pociąg do Okrągłego Stawu, że bony ich od brzegu odciągnąć nie mogą, tego mu nawet kaczki powiedzieć nie umiały. A przecież kaczki całymi dniami krążą po Okrągłym Stawie. Co prawda jedyną rzeczą, która je zajmuje, jest liczba kawałków piernika i bułek wylawianych z wody. Są to po większej części istoty zgorzkniałe, utyskujące nieustannie, że pierniki obecnie są mniej pożywne i smaczne, niż były za czasów ich młodości.

Musiał więc Piotruś sam sobie radzić. Puszczal statki na wodę, ale okrętem jego było drewniane koło, znalezione na trawniku. Piotruś nie widział nigdy, co dzieci robią z kołem, więc myślał, że to jest ich statek, i rzucił koło na wodę. Koło od razu upadło na dno; Piotruś wydobył je z niemałym trudem, a potem z uciechą włókł je po trawniku, pewny, że odkrył, jak się bawią prawdziwe dzieci.

Innego razu Piotruś znalazł na piasku małe blaszane wiaderko. Pewny, że to stołeczek do siadania, usiadł na wiaderku i jak się weń zapadł, tak ani rusz wydobyć się z niego nie mógł. Raz znowu dojrzał z daleka wzdęty powietrzem balonik. Balonik zlatywał właśnie z Wyścigowej Góry wlokąc za sobą sznurek. Piotruś słyszał od pewnego mysikrólika, że chłopcy bawią się nieraz w parku w piłkę nożną. Pewny, że to piłka nożna, rzucił się w pościg za balonikiem, a gdy go nareszcie pochwycił, tak energicznie kopnął go nogą, że balonik znikł jak kamfora.

Ale największy podziw wzbudził w nim pewien dziecinny wózek. Wózek stał najspokojniej w pobliżu zimowego pałacu królowej elfów (to znaczy pośrodku klombu otoczonego siedmioma hiszpańskimi kasztanami). Piotruś na palcach zbliżył się do wózka, bo o takim zwierzęciu nigdy mu ptaszki nie wspominały. Piotruś był pewny, że wózek jest żywy, i przemówił do niego. Wózek nic mu nie odpowiedział, więc Piotruś podszedł jeszcze bliżej i dotknął go końcem palców. Pchnięcie to wystarczyło, by wózek zaczął się toczyć w tył. Piotruś był pewny, że wózek umyka przed nim, i to natchnęło go wielką odwagą. Pobiegnął za wózkiem i chwyciwszy go, pociągnął ku sobie. Wtedy wózek zaczął się toczyć wprost na niego, co tak przeraziło Piotrusia, że bez tchu pognął najbliższymi ścieżkami do swego gniazda i zwinął się w nim w kłębuszek. Nie myślcie jednak, że Piotruś Pan był bojaźliwy. Zaraz nazajutrz wybrał się w odwiedzin do wózka z kijem w jednej, a okruchem chleba w drugiej ręce. Ale wózka już nie było i Piotruś więcej go już nie zobaczył.

Jeszcze mam wam powiedzieć, skąd się wzięło wiosło Piotrusia Pana. Otóż była to drewniana łopatka porzucona niedaleko studni. Piotruś był pewny, że to wiosło; ile razy wiatru nie było, używał jej do wiosłowania.

Może litujecie się nad Piotrusiem, że nie umiał się bawić jak należy? Wierzcie mi jednak, że choć wszystko robił na opak, źle mu z tym nie było. I dlatego litowanie się nad nim nie miałoby żadnego sensu. Przecież Piotruś był przekonany, że noc jest najwłaściwszą porą do zabawy, i choć bawił się inaczej niż prawdziwi chłopcy, niemniej bawił się doskonale, bo był pewny, że tak właśnie bawić się należy. A jeśli się wierzy, że się coś posiada, to tak, jakby się to naprawdę posiadało. Piotruś bawił się bez przerwy, bo nigdy nie tracił ani minuty na dąsy i grymasy, które wam tyle czasu zabierają. Tego Piotruś wcale nie umiał, ale czy dlatego należy ubolewać nad nim?

Wierzcie mi, Piotruś był naprawdę szczęśliwy. Był o tyle szczęśliwszy od was, o ile wy szczęśliwsi jesteście od waszego ojca. Czasem z wielkiej uciechy wywracał kozły na mura-

wie. Może widzieliście kiedy młodego wyżła przesadzającego rowy i płoty? Piotruś potrafi to jeszcze lepiej.

A w dodatku Piotruś umiał grać na fujarce! Nieraz panowie, wracający późną nocą do domu, drukują w gazetach, że słyszeli słowika śpiewającego w Parku Leśnym. Poczciwcy nie domyślają się nawet, że to, co biorą za śpiew słowika, jest muzyką Piotrusia Pana. Tylko... tylko Piotruś Pan nie miał matki. Prawda, ale sami powiedzcie, czy mu ta matka była bardzo potrzebna? A zresztą skoro się tak bardzo tym martwicie, to powiem wam, że Piotruś Pan wrócił do niej. A pomogły mu w tym elfy.

Rozdział IV

„Po dzwonku”

Niezmiernie trudno dowiedzieć się czegoś o elfach, jedno jest tylko pewne, że elfy przebywają zawsze w miejscach, gdzie się bawią dzieci. Dawnymi czasy, kiedy dzieci nie miały wstępu do Parku Leśnego, nie było w nim ani jednego elfa. Ale zaledwie zakaz ten cofnięto i dzieci po raz pierwszy przybiegły bawić się w parku, tłumy elfów nadciągnęły wieczorem za nimi. Po prostu elfy nie mogą żyć bez dzieci. Tylko że w dzień trudno je zobaczyć, bo przebywają bądź pod ziemią, bądź na trawnikach i klombach ogrodzonych słupkami z drutem albo siatką drucianą. A także i dlatego, że w dzień są bardzo chytre i przebiegłe, a co najzabawniejsze, że „po dzwonku” nie są już ani trochę chytre, ani przebiegłe.

Kiedy byliście ptaszkami, znaliście się z elfami doskonale, a nawet później, już jako niemowlęta, niejedno jeszcze pamiętaliście z czasów, kiedyście przebywali wśród nich. Nie mogę odżalować, że takie maleństwa w powijkach nie umieją pisać, bo w miarę jak podrastają, zapominają wszystko, tak że ja sam znalazłem dzieci, które zapewniały, że nigdy nie widziały elfa. A ręczę, że w chwili kiedy to mówiły, tuż przed nimi uwijało się mnóstwo elfów. Ale coś z tego, kiedy tak trudno je poznać, bo ci mali figlarze zawsze udają, że są czymś innym niż elfami. Najczęściej przebierają się za kwiaty, bo dwór królewski mieści się w Kotlinie Elfów i wzdłuż Alei Dzidziusiów, gdzie rośnie ich najwięcej. Suknie elfów robione są na wzór kwiatów – mody ich zmieniają się odpowiednio do pory ich kwitnienia. W czasie kwitnienia lilii przeważa w ich strojach barwa biała, w porze dzwonek – różowa i błękitna. Niektóre barwy cieszą się ich szczególnymi względami – wszystkie elfy na przykład przepadają za krokusami i hiacyntami. Na ogół wolą barwy delikatne od jaskrawych, dlatego też rzadko bardzo odziewają się w sukienki tulipanowe, bo żywe ich kolory nazbyt wpadają w oko. Ale bardzo chętnie używają kielichów białych tulipanów za kolebki dla swych niemowląt.

Skoro im się zdaje, że nikt na nie nie patrzy, pływają wesoło po trawnikach i klombach, a kiedy dojrzą człowieka i nie mają czasu ukryć się przed nim, stają nieruchome, jakby wrosły w ziemię, i udają, że są kwiatami. Nieraz przechodzisz tuż koło nich i nie domyślasz się nawet, że to są elfy, a ledwie je miniesz, gnają co tchu do domu i opowiadają swojej mamie, jakiego ci wypłatały figla. Jak wiecie, cała Kotlina Elfów pokryta jest bluszczem wijącym się po ziemi (z niego robią elfy swój olej rycynowy), gdziekolwiek tylko wystrzelają pęki kwiatów. Otóż niektóre są kwiatami, a inne przebranymi za kwiaty elfami. Trudno bardzo rozpoznać elfa; najlepiej przechodząc koło kwiatu, który się podejrzewa, że jest przebranym elfem, udawać, że się nie zwraca na niego uwagi, a potem szybko obejrzeć się poza siebie. Danio wymyślił jeszcze inny sposób. Jeżeli ma podejrzenie, że kwiat jakiś jest elfem, staje w miejscu i patrzy na niego dopóty, póki elf, zmęczony nieruchomością, nie poruszy się. Wtedy ma już pewność, że kwiat ten jest elfem. Wzdłuż Alei Dzidziusiów kręci się ich zawsze całe mrowie, bo tu im się łatwo ukryć w rabatach kwiatowych. Ale czasem i elfom zdarzają się różne przygody. Posłuchaj tylko, co spotkało pewną pensję dziewczynek.

Było ich dwadzieścia cztery; wyszły właśnie ze szkoły w towarzystwie nauczycielki i zamierzały odbyć codzienną przechadzkę wzdłuż nie obsadzonej jeszcze rabaty, gdy raptem nauczycielka stanęła i znacząco położyła palec na ustach. Wszystkie dziewczynki odziane były w hiacyntowe mundurki, więc na znak nauczycielki stanęły jak wryte na rabacie i udały, że są prawdziwymi hiacyntami. Nauczycielka usłyszała jakiś podejrzany szelest i rzeczywiście ledwie pensjonarki przemieniły się w kwiaty, nadeszło dwóch ogrodników z wielką paką

świeżych kwiatów. Ujrawszy rabatę obsadzoną już szafirowymi hiacyntami, obaj ogrodnicy popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

– Czyż nie szkoda wysadzać takich pięknych hiacyntów? – zapytał pierwszy.

– Wiesz, że taki jest rozkaz księcia – odparł drugi i, nie namyślając się dłużej, poczęli wydierać hiacynty z rabaty.

Potem wszystkie pensjonarki razem z nauczycielką wrzucili na taczki, wywieźli poza ogród i wysypali na kupę nawozu. Naturalnie biedaczki nie śmiały nawet okiem mrugnąć, żeby nie zdradzić się, że są elfami, i leżały na nawozie aż do zmroku. „Po dzwonku” dopiero odważyły się wrócić do domów, ale w pośpiechu pogubiły trzewiczki i rodzice tak się rozgniewali, że wszystkie dziewczynki odebrali z pensji i biedna przełożona musiała pensję zwinąć.

Co do mieszkań elfów, to szkoda ich szukać, bo ich mieszkania są widzialne tylko w nocy. Domy ich malowane są na kolor nocy, a że nocy za dnia nikt widzieć nie może, więc mieszkań elfów dojrzeć niepodobna. Ale nie sądźcie, że wszystkie ich barwy są czarne – broń Boże – noc ma te same barwy co dzień, tylko bledsze o kilka tonów. Czerwień, zieleń i błękit nocy są podobne do dziennych, tylko daleko bardziej przejrzyste.

Pałac królowej elfów jest jedną z najpiękniejszych rezydencji królewskich. Zrobiony jest z kolorowych szkielek i królowa się uskarża, że pospólstwo od samego rana oblega pałac, żeby widzieć, co królowa robi. I tak cisną nosy do ścian, że przynajmniej połowa elfów ma nosy spłaszczone albo zadarte do góry. Ulice i chodniki są na przestrzeni kilku mil wysłane miękką, białą materią wełnianą, ale że ptaki często wyrwały po kawałku chodnika na podściółkę do swoich gniazd, więc elfy na każdym rogu ulicy ustawiły teraz policjanta.

Jedna wielka różnica zachodzi między ludźmi a elfami: oto elfy nie robią nigdy nic pożytecznego. Kiedy pierwsze dzieciątko ludzkie zaśmiało się po raz pierwszy, śmiech jego rozsypał się w miliony okruszków, które poczęły wirować po ziemi i wirowały dopóty, póki się z nich nie zrobiły elfy. Drobny ten ludek pracuje niezmordowanie od świtu do nocy, ale gdybyś się którego elfa zapytał, co właściwie robił, okazałoby się, że zupełnie nic. Co chwila porzucają jedną robotę, żeby zacząć inną, i to trwa cały dzień. Nieuki z nich straszne – jedno tylko potrafią doskonale: płatać figle i wyprowadzać w pole ludzi. We wszystkim usiłują nas naśladować; mają więc na przykład swojego listonosza, ale listonosz obchodzi domy ze swoją torbą tylko na Boże Narodzenie. Budują prześliczne szkoły, ale nauka nie odbywa się w nich nigdy; najmłodsze dziecko uznane jest zawsze za najmądrzejsze ze wszystkich i ono bywa nauczycielem. Ale zaledwie wywoła imiona uczniów i uczennic, zaraz cała klasa idzie na spacer i już nie wraca więcej do szkoły. W domu także najmłodsze z dzieci rządzi wszystkimi – najmniejsze dzieci bywają również obierane na królów i królowe. Niemowlęta pamiętają o tym dobrze i choć później są pomiędzy ludźmi, myślą, że im jeszcze, jak dawniej, wszystko wolno.

Dziwicie się pewnie nieraz, czemu wasza malutka siostrzyczka zawsze robi co innego, niżby sobie życzyła mama albo piastunka. Siada, kiedy powinna stać, wstaje – kiedy chcą, żeby siedziała, dokazuje, kiedy ją ułożono do snu, i w najdłuższej sukience raczkuje po podłodze. I myślicie, że malutka robi to z przekory i uporu? Tymczasem siostrzyczka wasza żyje jeszcze życiem elfów i przez pierwsze dwa lata swego życia będzie robiła to wszystko, czego się nauczyła u nich. Potem dopiero, w miarę jak się oswoi z ludźmi, zacznie ich naśladować. Wszystkie gwałtowne wybuchy płaczu i gniewu u niej przypisuje mama wykluwaniu się ząbków. Mnie się zdaje, że przyczyna leży w czym innym. Oto w każdym malutkim dziecku budzi się rozżalenie, że nikt z otoczenia nie rozumie języka, jakim się ono posługuje. A przecież ono mówi językiem elfów. Jeszcze czasem matki i piastunki rozumieją, że na przykład „dia” znaczy „podaj no mi to bliżej”, „wa?” – „czemu włożyłaś dziś na głowę taki śmieszny kape-lusz?”, bo obcując ciągle z dziećmi połapały coś niecoś i z języka elfów.

Danio nieraz próbował przypomnieć sobie trochę z ich mowy za pomocą przyciskania skroni obu dłońmi. I rzeczywiście przypominał sobie kilka zdań, które wam powtórzę kiedy indziej, jeżeli ich jeszcze nie zapomniałem. Językiem tym mówił Danio, kiedy był jeszcze drozdem, sądziłem więc, że jest to może język ptaków, a nie elfów – ale Danio mnie zapewnił, że jest to język elfów, bo w zdaniach tych jest mowa o różnych figlach, a ptaki mówią zawsze tylko o swoich gniazdach. Danio pamięta dobrze, że ptaki przelatują z drzewa na drzewo, zaglądają do gniazd sąsiadów i rozmawiają tak: „Ten kolor nie bardzo mi się podoba, pani dobrodziejko” albo: „Czy szanowny pan sądzi, że pościółka będzie dość ciepła?”, albo jeszcze: „Ależ to obramowanie jest okropne!”.

Elfy tańczą znakomicie, dlatego i maleńkie dzieci strasznie lubią się kręcić w kółko i aż piszczą z uciechy, kiedy się z nimi tańczy. Bale elfów odbywają się zawsze na świeżym powietrzu; ich plac zabawy nazywa się „czarodziejskim kręgiem”. Nieraz w kilka tygodni po balu można jeszcze odnaleźć na trawniku ślady ich gwałtownego wirowania. Czasem w kręgu takim znajdują się i grzyby. Są to stołki elfów, których służba nie zdążyła uprzątnąć i pozostawiła na placu zabawy. Wygnieciona trawa i porozrzucane grzyby są jedynymi dowodami nocnej zabawy elfów; na pewno sprytne elfy nie omieszkalyby zatrzeć i tych śladów, ale z takim roznamiętnieniem tańczą do ostatniej prawie sekundy, że już nie mają na to czasu. Raz, kiedyśmy weszli z Daniem zaraz po otwarciu bramy parku, odkryliśmy „czarodziejski krąg” jeszcze zupełnie ciepły.

Kto uważnie patrzy na tablicę znajdującą się przy wejściu, może łatwo odgadnąć, kiedy elfy urządzają bal u siebie. Zapewne pamiętacie, że na tablicy tej jest naznaczona godzina zamknięcia parku. Otóż elfy, pragnąc wcześniej rozpocząć zabawę, zdejmują tablicę i na jej miejsce wieszają inną z liczbą 6 i 1/2 zamiast 7. Ludzie nie domyślając się podstępu wychodzą z parku o pół godziny wcześniej niż zwykle, a elfy od razu zaczynają hulać w najlepsze.

Gdybyśmy jak mała Tonia Mamering mogli bodaj jedną noc spędzić w Parku Leśnym, ujrzelibyśmy najcudowniejsze widowisko, jakie sobie wyobrazić tylko można. Tłumy najśliczniejszych elfów i elficzek ciągną na bal ze wszystkich stron. Mężowie obejmują czule swoje żony, a kawalerowie ustrojeni w mundury niosą treny dam. Przed orszakami biegną pacholcy z pochodniami zrobionymi z gałązek żurawinek. To są latarki elfów. Najpierw damy udają się do garderoby, gdzie zrzucają zasłony i zarzutki, a wdziewają śliczne trzewiczki srebrne. Wszystkie kwiaty rosnące wzdłuż Alei Dzidziusiów wychylają główki, stają na palcach i przyglądają się z zachwytem orszakowi zaproszonych; nie posiadają się też z radości, jeżeli mogą której z dam pożyczyć szpilki do spięcia oberwanej falbanki. Na najwyższym wzniesieniu siedzi królowa elfów, a za jej tronem stoi wielki kanclerz ze „stałością męską” w ręku, z której zdmuchuje godzinę, ile razy Jej Wysokość zapyta o nią raczy.

Obrusy zmieniają się zależnie od pory roku. W maju utkane są z kwiatów kasztana. Tkanię tę robi się w następujący sposób: dwadzieścia elfów strząsa najpierw kwiaty z drzewa, a gdy ziemia pokryje się nimi jak śniegiem, zbiegają się pokojówki i dopóty kręcą się w kółko z rozpostartymi sukienkami, póki płatki kwietne nie rozłożą się na ziemi w kształcie obrusa.

Elfy mają trzy rodzaje wina, które piją w trzech rodzajach kieliszków. Wino berberysowe, wino pierwiosnkowe i borówkowe. Królowa częstuje wszystkich winem, ale że flaszki są tak ciężkie, że nikt ich udźwignąć nie może, więc całe to częstowanie jest tylko na niby. Uczta zaczyna się zawsze od chleba z masłem. Dla wszystkich gości wystarcza porcja wielkości sześciu pensów. Na deser służba podaje ciastka nie większe od okruszków. Z początku wszystkie elfy siedzące dokoła grzyba zachowują się bardzo grzecznie, ale jak się tylko rozbawia, zaraz pakują palce w masło (które się wyrabia z korzonków starych drzew), a najniegrzeczniejsze włożą nawet na stół i językiem zlizują z półmisków cukier i inne słodczyce. Skoro królowa to spostrzeże, daje znak służbie, żeby wszystko uprzątnęła, i zaraz rozpoczynają się tańce. Królowa postępuje przodem, a za nią idzie wielki kanclerz niosąc w ręku dwie